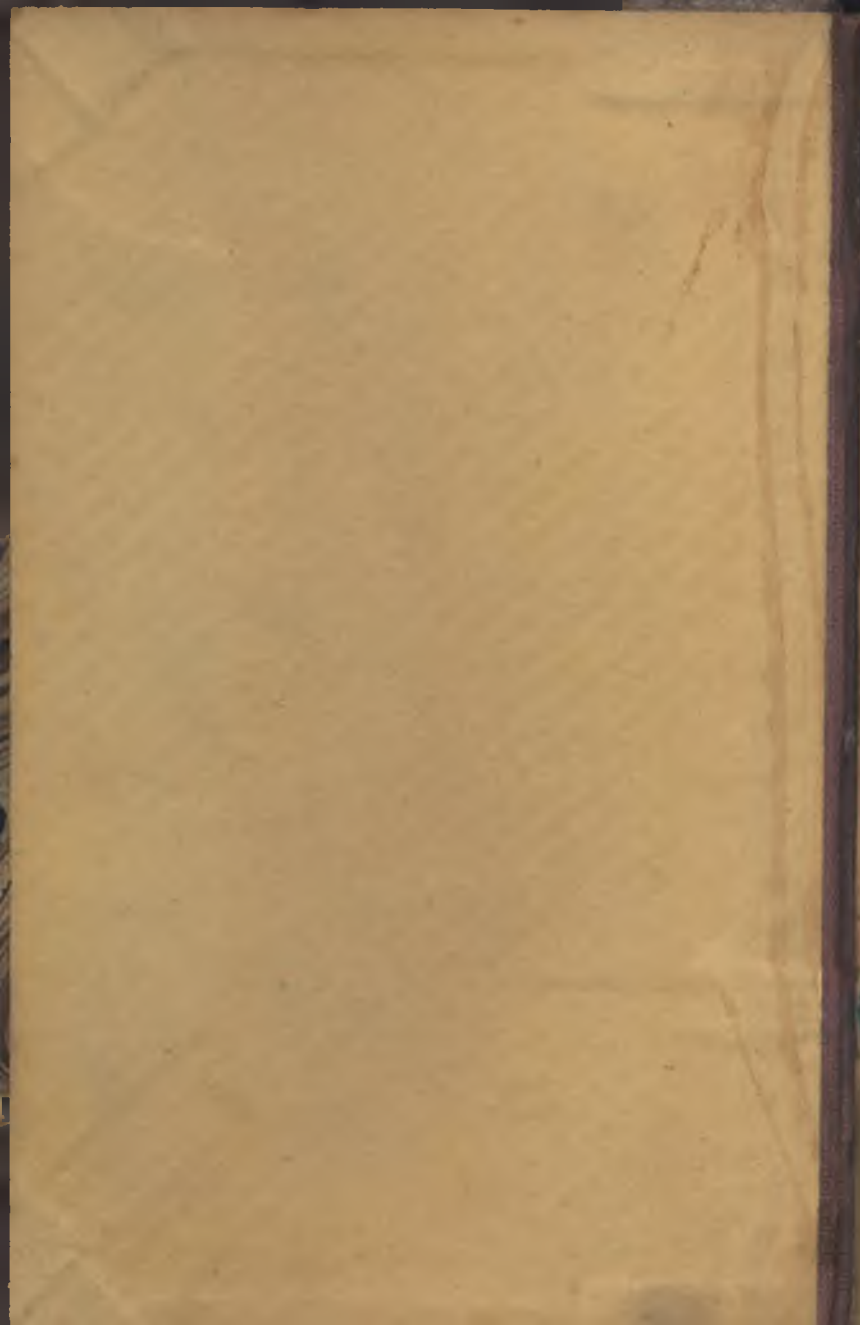








50P

Z. H. P.

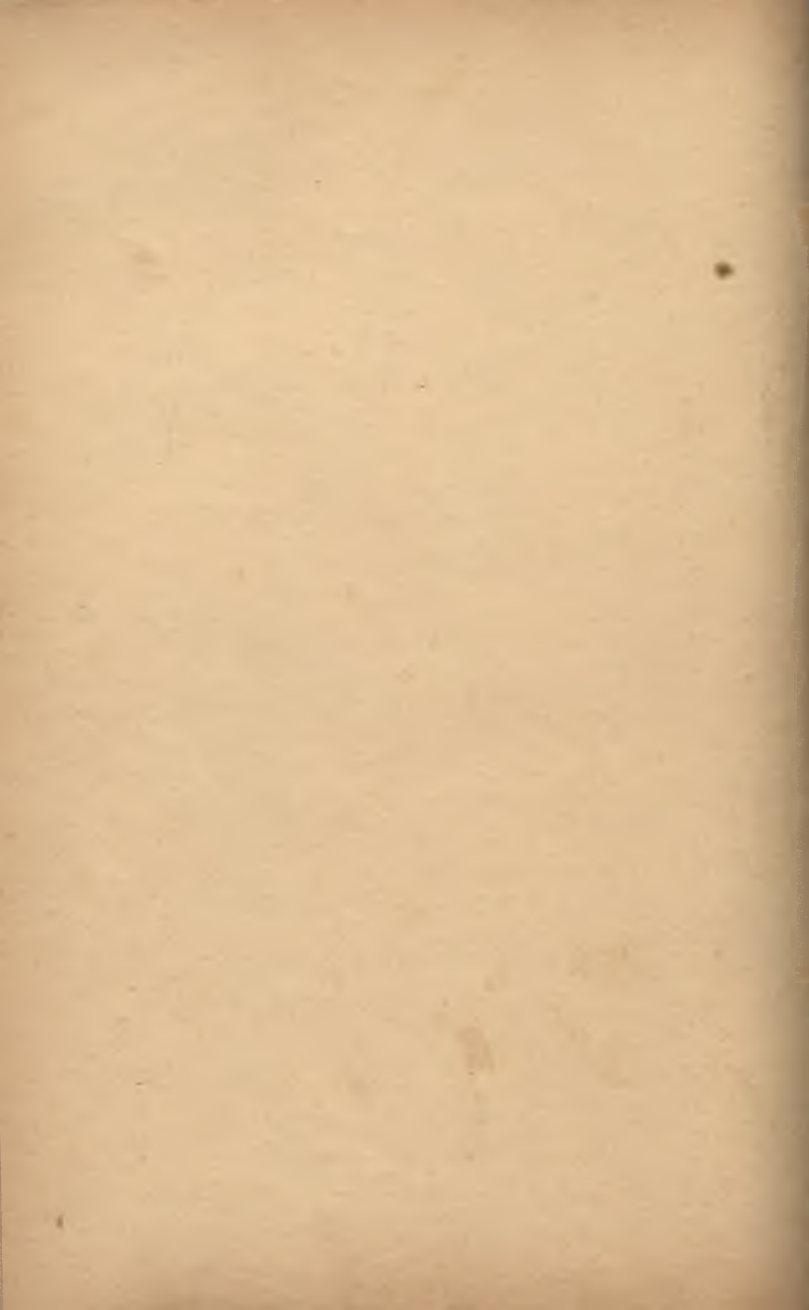
Oddział L. o. ski

Chorągiew Męska

2. DRUŻ. HARCERSKA im. D. TRAGUTTA

we Lwowie

L. _____



K. Ewald

OPOWIADANIA

OPOWIADANIA

PRAWDZIWE I FANTASTYCZNE
NA TLE PRZYRODY

DLA MŁODZIEŻY

napisał

Karol Ewald



WARSZAWA
NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

1907

L.
w s L w o w i e
UZ. HANCENSKA 121 AL. KAGUTTA
Chongliaw Heng
Oddział Lwowski
Z. H. P.

MGŁA.

Było to po zachodzie słońca. Żaby recho-
tały modlitwę wieczorną, tak niezmiernie dłu-
gą, że zdawało się, że nigdy końca jej nie
będzie. Pszczoła wróciła już do ula, a małe
niegrzeczne dzieci płakały, ponieważ nie chciały
iść spać. Kwiaty stulały płatki kielichów, chy-
ląc główki do snu, ptaki chowały dziobki pod
skrzydła, a jeleni układał się do spoczynku
w wysokiej, miękkiej trawie łąki leśnej. W ko-
ściołku wiejskim dzwony wybiły godzinę wie-
czorną, a stary zakrystjan, załatwiwszy co do
niego należało, szedł spokojnie do domu.

Powoli zapadała noc, a wraz z nią cisza
wieczorna. W chałupach chłopskich zapano-
wały ciemności: latem wieśniacy o świcie wsta-
ją do pracy i dlatego wcześniej muszą iść
spać.

Pierwsze gwiazdy zabłyśły na niebie i srebr-
ny księżyc wschodził coraz wyżej, zlewając
na ziemię potoki łagodnego światła. Gdzieś
daleko w wiosce rozległo się szczekanie psa.

Lecz chyba odezwał się on przez sen, bo właściwie nie było zupełnie na kogo czekać.

— Czy jest tam kto? — pyta mgła.

Odpowiedziało głucho milczenie.

I oto wypłynęła mgła w swych lekkich, jak obłok, powiewnych szatach. I poszła w tany na łąkę, sunąc to naprzód, to w tył, to w prawo, to w lewo. Zawisała w spokoju na chwilę, aby wnet rozpocząć znów taniec. I w zapale sunęła przez łąkę i staw, aż wgłąb lasu, gdzie tańczyła dalej, otulając pnie drzew leśnych swym powiewnym, wilgotnym objęciem.

— Kim jesteś, towarzyszu? — pytała pokrzyk-wilczajagoda, która dla własnej przyjemności wydawała zwykle nocą silny, odurzający zapach.

Lecz mgła milczała i tańczyła dalej.

— Pytałam, kim jesteś? — mówiła wilczajagoda.— A ponieważ nie odpowiadasz, wnioskować muszę, że jesteś gburem.

— A ja ci pomogę tak myśleć, — powiedziała mgła i przy tych słowach objęła wilczajagodę tak serdecznie i czule, że liście jej zwilgotniały zupełnie.

— Oj, ej! oj, ej! — rozpaczała wilczajagoda. — Odsuń swe ręce, przyjacielu kochany! Doznaję wrażenia, jakby mnie kto wykąpał w stawie.— Chyba niema powodu gniewać się o to, że zapytałam, kim jesteś.

— Kim jestem? — powtórzyła mgła, uno-

sząc się cokolwiek w górę. — Nie zrozumiała-
byś, gdybym nawet chciała ci to wyjaśnić.

— Spróbuj — to chyba nie zawadzi.



— Jestem *kroplą rosy* na kwiecie, *chmurą*
na niebie i *mgłą* na łące.

— Jakto? — zawołała wilczajagoda. — Może

powtórzysz mi to raz jeszcze. Krople rosy znam dobrze. Każdego ranka osiadają na mych liściach, lecz wyznać muszę, iż niezbyt są do ciebie podobne.

— A jednak jestem rosą — powiedziała mgła ze smutkiem w głosie. — Tylko mało kto mnie zna pod najrozmaitszymi postaciami, pod jakimi pędzę mój żywot. Czasami jestem rosą, kiedy indziej deszczem, czasami znów płynę, jako przezroczysty i chłodny potok źródłany przez las zielony. A gdy wieczorami tańczę na łące, wówczas ludzie mówią, iż to — *mgła* się podnosi.

— Zaiste niezwykła historia! — powiedziała wilczajagoda. — Czy nie chciałabyś mi jej dokładnie opowiedzieć? Noc jest długa i często podczas niej dokucza mi samotność i nuda.

— Historia moja nie jest wesoła, jest ona raczej smutna — odrzekła mgła. — Mogę ci ją zresztą opowiedzieć.

Mówiąc to, chciała się znowu położyć, ale wilczajagoda ze zgrozą najwyższą podniosła liście.

— Nie, nie, proszę cię, zostań w pewnym oddaleniu — powiedziała.

Spełniając tę prośbę, mgła położyła się cokolwiek dalej, i przemówiła w te słowa:

— Urodziłam się głęboko pod ziemią, głębiej, znacznie głębiej, niż sięgają twoje korzenie. Przyszliśmy na świat — ja i bracia moi — bo trzeba ci wiedzieć, że stanowimy

potężną rodzinę — jako przezrocza woda źródłana, kryształowej czystości. Długi czas biegliśmy w ukryciu. Aż pewnego pięknego dnia wytrysnęliśmy na zboczu góry prosto w światło dzienne, w promienie słoneczne! Wierżaj mi, że to rozkosz prawdziwa staczać się z góry potokiem czystym, płynąć wśród zieleni lasu! Pędziliśmy rażno i wesoło, przeskakując kamienie i rozbijając się o brzegi. Śliczne rybki pluskały się w naszych falach, a wysokie drzewa schylały swe dumne korony, odbijając w przezroczej toni wspaniałość swej zieleni. Gdy spadł listek, pieściliśmy go, kołyszając i unosząc w świat daleki, szeroki.

Ach, mówię ci, był to jakby sen cudny, marzenie, najpiękniejsze i najszczęśliwsze czasy życia mego.

— Ale czy dowiem się nareszcie, jak się to stało, żeś się zamieniła w mgłę? — pytała wilczajagoda. — Źródło znam dobrze. Gdy ciśsza zupełna panuje w lesie, słyszę jego ciche szemranie aż tutaj.

Mgła uniosła się cokolwiek, a pokręciwszy się w kółko na łączce, wróciła, i tak dalej ciągnęła swe opowiadanie:

— Najsmutniejsze jest to, że nikt nigdy nie jest zadowolony z tego, co posiada. Biegając tak bez wytchnienia, bez chwili spoczynku, wpadliśmy wreszcie do dużego, pięknego jeziora, na powierzchni którego kołysały się lilje wodne; nad jeziorem brzęczały łątki, prze-

cinając powietrze na swych wielkich i sztywnych skrzydłach, mieniących się w słonecznym blasku. Na powierzchni jezioro błyszczało, jak tafla lustrzana, my jednak musieliśmy w biegu swym trzymać się dna głębokiego, a tam było ciemno i ponuro. Znieść tego nie mogłam, tęskniłam za słońcem i światłem. Znałam je przecież tak dobrze z tych czasów, gdy jako potok staczałam się z góry. Wówczas to jasne promienie słońca przedierały się poprzez gęstwinę liści, aby pośpiesznie ślizgając się po mej powierzchni, przejrzyć się chyłkiem w toni przezroczej. Trawiła mnie tęsknota za słońcem, a chcąc je znów ujrzyć, przekradłam się na powierzchnię, wślizgując tajemnie między białe lilje wodne, ich szerokie, zielone liście, wprost pod promienie słoneczne. Ale jakże zostałam ukarana! Jakim strasznym ogniem oblewało mnie to upragnione przeze mnie słońce. Upał i żar był nie do wytrzymania, i żałowałam gorzko, że nie zostałam na dnie.

— Ale to wszystko nic a nic mnie nie zajmuje — zauważyła wilczajagoda. — Czy prędko zaczniesz opowiadać o mgłę?

— Już zaczynam, — odezwała się mgła, ponownie pochylając się nad kwiatem i tak mocno tuląc go w objęciu, że biedna wilczajagoda odetchnąć nie mogła.

— Oj, ej! oj, ej! — krzyczała rozpaczliwie. — Jakaż z ciebie gorączka! Czegoś podobnego

nie widziałam jeszcze. Proszę cię, idź dalej trochę i opowiedz, co się potem stało.

— Nad wieczorem, już po zachodzie słońca, — ciągnęła dalej mgła — zrobiło mi się nagle niezwykle lekko. Nie umiałam sobie wytłómaczyć, co to było — doznałam naraz i niespodzianie takiego wrażenia, jakgdybym musiała się unieść, ulecieć wysoko w przestrzeń. I zanim jeszcze zdałam sobie sprawę z mych uczuć, uleciałam rzeczywiście i oto bujałam jako obłok lekki ponad powierzchnią wody — coraz dalej od lilii wodnych i łątek. Na skrzydłach wiatru wieczornego leciałam szybko w górę, coraz wyżej pod niebo, gdzie spotkałam wielu moich współziomków. Dali się, zarówno jak i ja, porwać nierozumnej ciekawości i spotkał ich za to tenże sam los, co i mnie. Płynęliśmy obecnie po niebiosach — rozumiesz, byliśmy chmurami na niebie.

— Opowiadanie twoje nie jest zbyt wiarogodne! — zauważyła wilczajagoda.

— A jednak jest ono prawdziwe — odpowiedziała mgła. — Słuchaj jednak dalej. Wiatr unosił nas, pędząc przed siebie spory kawał drogi, aż nagle stracił ochotę do dalszej podróży i puścił nas samopas. Spadliśmy wówczas na ziemię, głośno ją bijąc kroplami, jako deszcz rześisty. Kwiaty w wielkim pośpiechu stuliły płatki korony, ptaki ukryły się w gniazdach — tylko kaczki i gęsi stawały się coraz weselsze, w miarę jak mokły. Ach,

tak, — i chłop stał w polu, ciesząc się serdecznie, gdyż pragnął deszczu dla zboża młodego. Z wielkiej radości zapomniał zupełnie, że moknie. Poza tym sprawiliśmy na ogół wielkie zamieszanie.

— Hm — więc prócz wszystkiego jesteś jeszcze deszczem! — powiedziała wilczajagoda. — Słuchaj, ale masz w takim razie strasznie dużo pracy?

— Tak jest — i nigdy spokoju — odrzekła mgła.

— Ale dotychczas jeszcze nie wiem, jakim sposobem przemieniłaś się w mgłę — zauważyła wilczajagoda. — Tylko nie gniewaj się i nie gorączkuj znowu, przecież sama przyrzekałaś opowiedzieć mi wszystko. Zresztą wolę już wysłuchać raz jeszcze całej tej historii, niż drzeć w twoim wilgotnym i zimnym objęciu.

Mgła poczęła ronić łzy rzęsiste, a popłakawszy chwilę, tak kończyła opowiadanie:

— Gdy spadłam na ziemię w postaci deszczu, wypita mnie spragniona czarna ziemia. Zapadłam znów wgłąb i już się cieszyłam, że wrócę do miejsca urodzenia, do podziemnego źródła, głęboko ukrytego. Miałabym tam przynajmniej spokój i życie bez trosk i kłopotów. Aż tu nagle, w czasie mej wędrówki przez ziemię, pochłoneły mnie niespodzianie korzenie drzewa i nie pozostało mi nic innego, jak cały długi dzień toczyć się przez

pnie i gałęzie, liście i kwiaty. Wyobraź sobie — używali mnie, jak wołu roboczego! Wszystek pokarm, który potrzebny był pąkom



i liściom, musiałam znosić im z głębi ziemi, od samych korzeni, w górę. Dopiero wieczorem pozbyłam się tej męki prawdziwej. Po

zachodzie słońca wszystkie kwiaty i wszystkie rośliny wzdychały głęboko, a w ich westchnieniach unosiliśmy się, — ja i bracia moi, w postaci lekkich, przezroczystych oparów. I oto stanowimy — mgłę. Dziś w nocy puszczamy się w tany i płasy na łączce, zaś jutro rano, o wschodzie słońca, osiadziemy na twych listkach jako srebrne, błyszczące krople rosy. Gdy otrząśniesz nasz z siebie, zapadniemy znów w ziemię, coraz głębiej, aż wrócimy do źródła, z którego pochodzimy, chyba że nas w drodze uwieży znów korzeń jaki. I zacnie się wtedy wędrówka poprzednia: w potoku, przez strumień do jeziora, a stamtąd wysoko w powietrze, potem na ziemię w postaci deszczu... i dalej, i dalej...

— Przestań już, przestań — wołała wilczajagoda. — Doznaję poprostu zawrotu głowy, słuchając twego opowiadania.

W tejże chwili poruszyła się żaba w rowie. Przetarszy zaspane oczy i wyciągnąwszy zleżące członki, poszła na trzęsawisko, aby wziąć zwykłą kąpiel błotną. Ptaki w lesie zbudziły się ze snu i poczęły świergotać, a jednocześnie rozległ się głos jelenia między drzewami.

Ranek budził się do życia. Wstało słoneczko i ciekawym spojrzeniem wychyliło się z za wzgórza.

— A to co znowu? — zapytało. — Jak tu wygląda? Co to za nieporządki? Mgła wszyst-

ko zasłania — własnej ręki dojrzyć niepodobna. Hej, wietrze poranny — wstań mi zaraz, leniuchu, i wymieć mi tę mgłę!

Na dany rozkaz wiatr poranny gwałtownym podmuchem zmiotł mgłę, która zawisła w powietrzu jako gęsty opar.

W tej samej chwili pierwsze promienie wschodzącego słońca padły na wilczajagodę.

— Otóż i słońce — powiedział kwiat. — Muszę czymprędzej zamknąć swój kielich. Ciekaw jestem ogromnie, gdzie się też podziąta ta biedna mgła.

— Oto jestem — odezwała się kropla rosy, która błyszczała właśnie na łodyżce kwiatu.

A wilczajagoda aż oniemiała ze zdziwienia i zdumiona potrząsnęła listkami. Zaś słońce zaczęło się do niej uśmiechać, a rosa lśniła dalej w blaskach słonecznych i mieniła się wszystkimi kolorami tęczy.



CHWASTY.

Był to rok błogosławiony, rok urodzaju. Naprzemian padał deszcz i świeciło słońce — tak właśnie, jak sobie tego życzyć było można dla zboża w polu. Jeśli się kiedy zdarzyło, że wieśniak wypowiedział jedynie jako przypuszczenie, «ziemia jest trochę sucha», to z pewnością następnego dnia deszcz padał. A gdy uważał, że dość już opadów, to jak na zawołanie rozchodziły się chmury, a przez nie wydzierało się słoneczko; — wyglądało to zupełnie, jakgdyby pogoda zależną była od życzeń i woli wieśniaka.

Nic więc dziwnego, że chłop był w dobrym humorze i nie jęczał, nie skarżył się, nie płakał, jak to zwyczajem jego było. Z dobrą miną i twarzą pogodną szedł przez pole w towarzystwie swoich chłopaków.

— W tym roku będziemy mieli żniwo, aż miło! — powiedział. — Zapełni się stodoła, śpi-chlerz będzie pełny i grosza nazbiera się sporo. Wy zaś dostaniecie nowe ubranka i pójdziecie ze mną na jarmark.

Gdy tak chłop szedł przez pole, zawołało doń żyto:

— Hej chłopie, weź się prędzej do żniwa, bo inaczej położę się. Mówiąc to, chyliło swe pełne i ciężkie kłosa ku ziemi.

Chłop wprawdzie nie słyszał słów żyta, widział jednak doskonale, jak rzeczy stoją i zrozumiał prośbę. Poszedł też do domu po kosę.

— Miło naprawdę być w służbie u ludzi — powiedziało żyto. — Mam zawsze pewność, iż ziarno moje będzie zabezpieczone. Większa część jego idzie do młyna—to prawda. Prawda i to także, że to niezbyt narazie przyjemne, lecz zato później staje się świeżym, smacznym chlebkiem. A przecież dla zaszczytu i sławy warto też trochę pocierpieć. A resztę to już z pewnością rolnik zachowa, aby je posiać znowu następnego roku.

Tuż obok pola, na miedzy i w rowie rosły bujne chwasty. Oset i łopian, maki, dzwonki i lwi ząb stały w wielkiej obfitości, a główki ich wypełnione były suto nasieniem.

I dla nich był to także rok urodzaju, gdyż słońce świeci i deszcz pada bez żadnej różnicy zarówno dla zboża szlachetnego, jak i dla biedaków chwastów.

— Nikt nas nie skosi, nikt do stodoły nie zwiezie — powiedział lwi ząb i pokiwał głową, ale ostrożnie bardzo, aby przed czasem

nie wysypać ziarna. — Co to będzie z naszemi dziećmi?

— Aż mnie głowa boli, gdy o tym pomyślę — powiedział mak. — Oto stoję w polu, noszę w głowie setki ziaren i zupełnie nie wiem, co z nimi zrobić, gdzie je podziąć.

— Możebyśmy zapytali żyto o radę? — zauważył łopian.

I rzeczywiście zwrócili się do żyta z pytaniem, co czynić należy.

— Gdy się swoje sprawy pomyślnie i w porządku załatwiło — odpowiedziało żyto — to najlepiej nie mieszać się do innych. Co mnie kto inny obchodzi! Jedno wam tylko poradzić mogę: strzeżcie się, aby nasienie wasze nie padło na pole, bo w przeciwnym razie będziecie mieli ze mną do czynienia!

Naturalnie, że taka rada nie na wiele przydać się mogła, to też biedne chwasty cały długi dzień suszyły sobie głowę, co tu począć, co robić? O zachodzie słońca zwinęły płatki, aby zasnąć; całą noc śniły o nasieniu, a gdy przyszło rano, znalazły radę.

Najpierw obudził się mak polny. Ostrożnie rozchylił parę kłapek u góry, tak, aby promienie słońca padały wprost na nasienie. Potym przywołał do siebie wietrzyka poranne-go, który wesoło igrając, biegał wzdłuż zagonów.

— Wietrze, miły kochany mój wietrze, czy nie chciałbyś mi wyświadczyć przysługi?

— Chętnie — odpowiedział wiatr. — Bardzo chętnie wziąłbym się do jakiej roboty.

— Idzie tylko o drobnostkę — ciągnął dalej



mak. — Proszę cię, potrząśnij łodygą tak silnie, aby nasienie moje wypadło z pochewek.

— Zrobione! — zawołał wiatr.

I nasienie poleciało na wszystkie strony świata. Wprawdzie łodyga maku złamała się przytym, ale nikt się tym zbytnio nie martwił. Gdy się raz zabezpieczy przyszłość dzieci, to właściwie rola nasza na ziemi skończona.

— Żegnaj mi teraz—powiedział wiatr i pośpieszył dalej.

— Czekaj-no chwilę jeszcze — wołał za nim mak.—Musisz mi jeszcze obiecać, że nie wydasz mnie przed innemi. Boję się, że inni wpadną na ten sam pomysł, a wówczas dla nasienia mego zostanie mało miejsca.

— Będę milczał, jak grób — odpowiedział wiatr i poleciał dalej.

— Pst, pst, wietrze! — zawołał nań nagle kąkol. — Słuchaj-no, wietrze; czy nie miałbyś chwili czasu, aby mi się przysłużyć?

— Niech tam! — odpowiedział wiatr.— Cóż się stało?

— Ach, chciałem cię prosić, abyś mną potrząsnął trochę, powiedział kąkol. — Otworzyłem w główce parę kłapek i chciałbym bardzo, aby nasienie moje daleko w świat szeroki wyrzucone zostało. Nie wolno ci jednak opowiadać o tym nikomu, gdyż każdy zechce to samo zrobić.

— Boże uchwaj! — zaśmiał się wiatr wesoło.— Bądź spokojny, potrafię trzymać język za zębami.

I potrząsnąwszy kwiatem z całej siły, po-
pędził dalej.

— Wietrze mój drogi, wietrze kochany —
wołał lwi ząb.—Dokądże tak śpieszysz?

— A bo co? Czy i tobie coś na sercu leży?—
pytał wiatr.

— Bynajmniej — odpowiedział lwi ząb. —
Chciałem tylko parę słów pomówić z tobą.

— Tylko śpiesz się, proszę — powiedział
wiatr.—Radbym położyć się trochę.

— Widzisz — zaczął lwi ząb — w dzisiej-
szych czasach trudno nam przychodzi po-
umieszczać, jak się należy, nasze nasiona.
A przecież każdy pragnie zabezpieczyć byt
i przyszłość własnej rodziny. Jak się urzą-
dza kąkol, mak i ten biedny łopian—nie wiem
zupełnie. Ale my z ostem uradziliśmy wspól-
nie sposób wyjścia. Tylko ty musisz nam
pomóc.

— A więc już czworo jest takich, którzy
pragną mojej pomocy! — pomyślał wiatr i za-
śmiał się głośno, tak go to ubawiło.

— Czegóż się śmiejesz?— pytał lwi ząb.—
Widziałem przedtym, że szeptałeś coś poci-
chu z makiem i kąkolem. Ale jeśli nie za-
chowasz tajemnicy, to niczego się od nas nie
dowiesz.

— Uchowaj Boże — zapewniał wiatr.— Je-
stem niemy, jak ryba.—A więc czego chcesz
ode mnie?

— Oto zaopatrzyliśmy nasze nasiona w małe parasoliki, jakgdyby skrzydełka. Zapewniam cię, że jest to najładniejsza zabaweczka, jaką kiedykolwiek widziałeś. Gdy wioniesz, choć zlekka, pofruną w górę i upadną tam, gdzie ci się spodoba. No, czy chcesz nam zrobić tę przysługę?

— Dobrze — odparł wiatr.

I... szust, szust—przeleciał ponad lwim zębem i ostem, zabierając z sobą wszystko ich nasienie na pobliskie pole.

Łopian tymczasem stał, pogrążony w głębokiej zadumie. Myślenie nie przychodziło mu łatwo, był ociążały i powolny, dlatego też wszystko trwało u niego długo.

Nad wieczorem przeleciał miedzą zając w gwałtownych podskokach i susach, wołając rozpaczliwie:

— Ratuj mnie, okryj mnie! Za mną goni Łysek, pies wieśniaka.

— Chodź do mnie. Zbliź się — powiedział łopian.—Już ja cię ukryję bezpiecznie.

— Jakoś mi się nie zdaje, abyś mógł to zrobić — powiedział zając. — Ale w potrzebie trzeba sobie radzić, jak można, nie gardząc żadną pomocą.

Z temi słowy ukrył się zając w zagonie przy miedzy.

— Przez wdzięczność za moją usługę mógłbyś mi przenieść część nasienia na sąsiednie pole — powiedział łopian, odrywając

parę ze swych licznych główek i przyczepiając je zającowi do sierści.

W chwilę potem zjawił się Łysek zziązany.



— Pies przyleciał—szepnął łopian.

Lecz zając jednym susem przesadził pole, kryjąc się głęboko w życie.

— Czy nie widziałeś gdzie zająca? — pytał

Łysek. — Czuje się już cokolwiek za stary na polowanie. Na jedno oko oślepiłem i węch już tracić zaczynam.

— Rzeczywiście go widziałem, odparł łopian, a jeśli wyświadczysz mi grzeczność, wskażę ci, gdzie się ukrywa.

Naturalnie, że Łysek się zgodził, a wówczas łopian przyczepił z kolei i psu na grzbiecie parę swych główek z nasionami, mówiąc:

— Teraz potrzyj się trochę o poblizki płot i postaraj się, aby nasienie padło na pole. A zająca nie szukaj wcale w życie, bo to próżna fatyga. Widziałem, jak dopiero co wpadł do lasu.

Posłuszny Łysek złożył nasiona na polu, gdzie rośło żyto, a potem puścił się cwałem do lasu.

— A więc zabezpieczyłem przyszłość dzieci moich — mówił łopian, uśmiechając się i pocierając z zadowolenia liście. — Kto wie, jak sobie poradzili mak, kąkol, lwi ząb i oset!...

*

*

*

Następnej wiosny, gdy żyto kielkujące pokryło pole runem zielonym, odezwały się żdźbła zboża:

— Zaiste nie możemy się skarżyć. Oto jesteśmy w licznym, a wyłącznie swoim towarzystwie, bez obcych, natrętnych żywiołów. A każde z nas jest na swoim miejscu—jedno

drugiemu nie zawadza, nie przeszkadza. Naprawdę, że to przyjemność prawdziwa być w służbie u ludzi!

Aż tu pewnego pięknego dnia całe mnóstwo małych maków, kąkoli, ostów, łopianów i lwiego zębu wychyliło z pod ziemi ciekawe główki, wsuwając się bez ceremonji między arystokratyczne towarzystwo szlachetnie urodzonego zboża.

— A to co takiego? — wołały żdźbła żyta.—Skąd wy się tu wzięliście?

Zaś kwiat maku pytał, patrząc na kwiat kąkolu:

— A ty skąd tu przychodzisz?

I z niemniejszym zdziwieniem pytał oset łopianu:

— A ciebie kto tu przyniósł?

Każde zosobna i wszyscy razem byli ogromnie zdumieni. Trwało to dobrą chwilę, nim się rzecz wyjaśniła.

Oburzenie żyta granic nie miało, a gdy się dowiedziało jeszcze o figlu, jaki spłatał mu Łysek i zając, ogarnęła je rozpacz prawdziwa.

— Dzięki Bogu—zawołało—ostatniej jesieni chłop zastrzelił tego zająca. I Łysek, ten nicpoń stary, już na szczęście nie żyje. Z ich strony nic nam już grozić nie może. Ale jakże śmiał wiatr bezczelny znosić chwasty na pole naszego gospodarza?

— Powoli, powoli, nie gorączkuj się zbytnio, żytko zielone — odezwał się wiatr, który

leżąc przy zagonie, wysłuchał całej rozmowy. — Nie pytam nikogo o pozwolenie, co wolno i czego nie wolno. Robię, co mi się



żywnie podoba, a żeby cię ukarać za twą dumę i zarozumiałość, zmuszę cię do ukerzenia się przede mną.

Mówiąc to, przeleciał nad polem, tak, że młode źdźbła zakołysały się, kornie schylając główki.

— A widzisz! — ciągnął wiatr dalej. — Gospodarz dba o swoje zboże — to jego sprawa. My zaś — deszcz, słońce i ja — opiekujemy się wami wszystkimi bez różnicy stanu i urodzenia. W naszych oczach biedne chwasty zasługują na te same względy, co dumne, bogate, szlachetnie urodzone zboża.

W pewien czas potym przyszedł chłop w pole, aby zobaczyć, jak się żyto zapowiada. Gdy dostrzegł liczne chwasty, które między zbożem widniały, poskrobał się gniewnie w głowę i począł wymyślać.

— To z pewnością ten nicpoń wiatr przyniósł je tutaj — powiedział do swych chłopaków, którzy przy nim stali, trzymając ręce w kieszeniach nowych ubranek.

Słyszając te słowa, wiatr zerwał się i za karę zrzucił wszystkim trzem czapki z głowy, goniąc je przed sobą wzdłuż drogi. Chłop i obydwaj chłopcy puścili się w pogoń za czapkami.

Ale wiatr miał szybsze nogi i uciekał prędzej. W końcu gwałtownym podmuchem wionął je w sadzawkę pośrodku wsi, a chłop i chłopaki nie mało nabiedzić się musieli, nim się im udało wyrownać.



NENUFAR I ŁĄTKA.

Pośród zielonych drzew i krzaków, okrywających ją swym cieniem, płynęła rzeka, a po brzegach rośla wysmukła i giętka trzcica, która bezustannie szeptała z wiatrem. Opowiadali sobie widocznie ciekawe historie i ważne tajemnice. Na powierzchni wody płynął nenufar o pięknym białym kielichu i szerokich liściach zielonych.

Zazwyczaj na rzece panowała głęboka cisza. Czasami tylko gdy wiatr silniej niż zwykle poruszył fale, trzcina kołysała się szepcąc głłośniejszym, nenufar znikał zupełnie w objęciu zalewającej go fali, a liście jego wynosiły się wysoko ponad wodę, zwieszając w bok nieraz tak silnie, iż łodygi, które wyrastały z dna rzecznoego, miały pracę nielada, aby utrzymać swe liście.

Po łodydze nenufaru cały dzień łąziła gąsienica łątki — tam i napowrót, tam i z powrotem.

— Myślę, iż musi to być strasznie nudne być nenufarem — powiedziała któregoś dnia, spoglądając na kielich kwiatu.

— Mówisz tak, jak pojmujesz — odpowiedział nenufar. — Jest to właśnie najpiękniejsze, o czym marzyć można.

— Nie, tego nie rozumiem — ciągnęła dalej gąsienica. — Na twoim miejscu zerwałabym się, aby fruwać w powietrzu, jak piękne, duże, o błyszczących skrzydełkach, łątka.

— Phi, przyjemność wielce wątpliwa — mówił nenufar. — Leżeć na powierzchni wody w ciszy i spokoju, leżeć i marzyć, kąpać się w promieniach słońca, kołysać się na falach rzecznych, oto zadanie życia i prawdziwy jego urok.

Gąsienica milczała chwilę w zamyśleniu.

— A jednak moje pragnienia dążą ku wyższym celom — powiedziała wreszcie. — Gdyby marzenia moje mogły być spełnione, chciałabym być łatką. Unosić się wzdłuż rzeki na dużych mieniących się skrzydłach, całować twój biały kielich, odpoczywać na liściach twoich — oto, czego pragnę.

— Jesteś ambitną — odpowiedział nenufar. — A to niemądrze z twojej strony. Wiesz dobrze, co masz teraz, ale nigdy nie możesz przewidzieć, co cię czeka. Chciałbym cię jeszcze zapytać — jak myślisz wziąć się do tego, aby zostać łatką? Jakoś mi się nie zdaje, abyś się nią urodziła. W każdym razie musiałabyś się zmienić, aby wyrość na coś ładniejszego — teraz jesteś szara i szpetna.

— W tym trudność cała — powiedziała gą-

sienica ze smutkiem w głosie. — Sama nie wiem, jak się do tego zabrać, ale wierzę i spodziewam się ciągle, że jakoś to pójdzie. Dlatego łażę tak po wodzie i pożeram wszystkie żyjątka, które mogą stać się moją zdobyczą.

— Ach tak! I myślisz, że przez takie jedzenie bez miary i końca możesz stać się czymś wielkim?! pytał nenufar ze śmiechem. — Wiesz, że to piękny sposób dążenia naprzód, do postępu.

— Ja jednak myślę — ciągnęła dalej gąsienica z zapalem — ja myślę, że dla mnie będzie to sposób najwłaściwszy. Będę jadła cały dzień, aż się utuczę na grubą i tłustą. A może potym któregoś pięknego dnia tłuszcz mój zamieni się w skrzydła o pięknym złotym połysku wraz z tym wszystkim, co konieczne jest, aby stać się prawdziwą łątką.

Ale nenufar potrząsnął tylko białą mądrą głową.

— Porzuć te wszystkie niedorzeczne myśli — powiedział — a używaj i ciesz się tym, co życie ci daje. Możesz spokojnie używać swobody i wolności pośród liści moich — nic ci nie grozi — możesz bezpiecznie łązić po mej łądydze, ile ci się tylko podoba. Masz łut zabezpieczony, żyjesz bez trosk i kłopotów — kochanie moje, czego jeszcze pożądać można?

— Nie możemy się zgodzić — odparła gą-

sienica. — Jesteś niskiego pochodzenia i brak ci poczucia wyższych celów. A jednak pragnę zostać łątką.

Mówiąc to, spuściła się na dno po nową zdobycz, aby się lepiej utuczyć.

Lilja wodna została spokojnie na powierzchni wody, rozmyślając o tym, co właśnie słyszała.

— Nie rozumiem tych zwierząt — mówiła. — Cały boży dzień, od rana do wieczora, uganiają się za sobą, pożerają wzajem i nigdy zgody utrzymać nie potrafią. O ileż my, kwiaty, rozsądniejsze jesteśmy. Wzrastamy obok siebie w spokoju i ciszy, wchłaniamy promienie słońca, pijamy krople deszczu, spokojnie przyjmując, co los nam zsyła. A ja, zaiste najszczęśliwszą z nich wszystkich jestem. Ileż to razy kwiaty na łódce usychały, nękanie pragnieniem, palone żarem słońca, podczas gdy ja, zadowolona, pełna i świeża, kołysałam się unoszona ruchem wody. Najlepszy los przypadł kwiatom w udziale. A niedorzeczne zwierzęta nie chcą prawdy tej uznać.

Gdy słońce miało się ku zachodowi, gąsienica łątki siedziała w milczeniu na łodydze liści, wciągnąwszy pod siebie nóżki. Pożarła niezliczoną ilość żyjatek i była tak grubą, że doznała wrażenia, jakby pęknąć miała. Mimo to nie miała zbyt wesołej miny. Wciąż stały jej w pamięci słowa lilji, i nawet niespokojnych myśli przez całą noc spać jej nie

pozwolił. Myślenie, do którego zupełnie nie nawykła, spowodowało jej ból głowy. Prócz tego doznawała dziwnego łamania w grzbiecie i żołądku. Wciąż miała wrażenie, jakby lada chwila miała umrzeć, poszarpana w kawałki przez niewiadomą siłę.

Gdy dzień zaczęło, bóle jej stały się nie do wytrzymania. Ogarnęła ją poprostu rozpacz.

— Nie, dłużej już tego nie zniosę — krzyknęła. — Bóle coraz wzrastają i nie wiem wcale, co dalej będzie. Może lilja wodna miała słusność, mówiąc, iż przez całe życie zostanę biedną, nieszczęśliwą gąsienicą. A jednak — jakże myśl ta mnie dręczy! Tak bardzo pragnęłabym zostać łatką, aby bujać w słońcu. Oj oj, oj oj, mój grzbiet, mój kark! Umieram, ach, umieram!

Zdawało jej się, iż grzbiet pęka na dwoje, i głośno krzyczała z bólu. W tejże chwili trzciny nadbrzeżne z głośnym szeptem ku sobie chylić się poczęły.

— To wiatr poranny — pomyślała gąsienica. — Chcę przynajmniej przed śmiercią raz jeszcze ujrzeć słońce.

I choć z wielkim trudem, wylazła na jeden z liści nenufaru i wyciągnęła nóżki, jakgdyby gotując się na śmierć.

A gdy na wschodzie ukazała się na widnokręgu wielka płonąca kula, coś nagle pękło w grzbiecie gąsienicy. Ze szpary zrobiła się dziura, coś ją łamało, paliło, piekło, szczy-

pało — ach, były to męczarnie bez końca i miary.

Zrozpaczona i zboląta przymknęła oczy. Bó-



le wciąż jeszcze nie ustawały — wciąż jeszcze coś się w niej łamało. Aż nagle poczuła się wolną i swobodną, a gdy zdziwiona otworzy-

ła oczy, przekonała się, iż buja w powietrzu, jako łątka niesiona na pięknych, mieniących się, sztywnych skrzydełkach. Zaś pod nią, na liściach nenufaru, spoczywała brzydka, szara sukienka, z której właśnie wyszła.

— Wiwat! — wołała świeżo upieczona łątka. — A więc ziściło się wreszcie moje najgorętsze pragnienie.

I szybko uniosła się na skrzydłach, jak-gdyby miała świat cały przelecieć.

— A więc jednak postawiła na swoim! — pomyślała lilja. — No, czas pokaże, czy pod nową postacią lepiej czuć się będzie, niż dawniej.

W dwa dni później przyfrunęła łątka i spoczęła na kielichu tej samej lilji wodnej.

— A dzień dobry! — zawołała lilja. — Nareszcie widzę cię znowu. Myślałam, że z chwilą, gdy stałaś się wielkoświatową damą, nie chcesz znać więcej dawnych przyjaciół.

— Witam cię! — odparła łątka. — Powiedz mi, gdzie mogę jajeczka swe złożyć?

— Ach co tam, zdążysz jeszcze. Siadaj lepiej i opowiedz mi szczegółowo, jak ci się wiedzie. Czy bardziej zadowolona jesteś z życia teraz, niż wówczas, gdy jako brzydka mała gąsienica łąziłaś po mej łodydze tam i napowrót?

— Ach, Boże, gdzież mam jajeczka swe złożyć? — krzyczała łątka, przelatując z brzękiem głośnym z miejsca na miejsce i zоста-

wiając to tu, to owdzie po jajeczku, aż wreszcie zmęczona i osłabła spoczęła na liściu.

— No, jakże? — pytała lilja wodna.



— Ach, o ileż piękniej i lepiej było mi wtedy! — westchnęła łątka. — Prawda, że słońce świeci wspaniale, prawda również, iż sprac-

wia mi rozkosz niewysławioną bujać tak w blasku ponad powierzchnią wody. Niestety jednak nie mam zupełnie czasu cieszyć się światem i jego urokiem. Nie wyobrażasz sobie wcale, jak wiele czeka mnie pracy. Dawniej, za starych, dobrych czasów, żyłam bez trosk i kłopotów. Obecnie cały dzień muszę latać i fruwać, jedynie po to, aby składać te głupie jajeczka. Nie mam jednej wolnej chwili dla siebie—ledwie znajdę tyle czasu, aby się pożywić.

— A co, czy nie mówiłam?—zawołała lilja z tryumfującą miną. — Czyż nie przepowiadałam, iż twoje przyszłe szczęście jest nader wątpliwe?

— Żegnaj mi—westchnęła smutnie łątka.— Nawet nie mam czasu słuchać twoich docinków. Muszę kończyć to składanie jaj.

Właśnie zrywała się do lotu, gdy wtym zjawił się szpak. — Cóż za ładna, mała łątka!—powiedział. — Zaprawdę, będzie to kasek nielada dla moich małych.

I w mgnieniu oka—wapp—porwał biedną łątkę, unosząc ją w dziobie.

— Oto niespodzianka — wołała przerażona lilja wodna, otrząsając ze zgrozą swe liście.— Ach, te zwierzęta, te zwierzęta! Cóż za istoty! Wprost śmieszne w swej wiecznej niezgodzie! Zjadają i pożerają się wzajem! O ileż wyżej stoi moje życie, zaciszne i spokojne.

Nie krzywdzę nikogo i nikt mi nie złego nie wyrządza. Naprawdę, mogę się za szczęśli...

Zdania swego lilja nie zdążyła dokończyć, w tej samej bowiem chwili przesunęła się tuż obok łódka, a w niej siedziała mała Ewa.

— Cóż za wspaniała lilja wodna! — zawołała dziewczynka. — Muszę ją dostać. — I przechylając się w łodzi, jednym ruchem zerwała piękny kwiat.

Za powrotem do domu wstawiła lilję do wody. Tu stała lilja trzy dni wraz z wielu innymi jeszcze kwiatami, zebranymi w bukiet.

— Nie rozumiem świata i jego urządzeń — powiedziała lilja czwartego dnia zrana. — Przecież ani o włos jeden nie dzieje mi się lepiej, niż biednej łątce.

— Zwiędły już kwiaty — zawołała mała Ewa, która właśnie nadeszła, i wyrzuciła je wszystkie przez okno na podwórze.

I oto leżała piękna lilja wodna, o białych, delikatnych płatkach i śnieżnym kielichu, tarzając się w brudzie i kurzu.



H. P.
Ogólny Lito. ski
Giergiew Męska
Z DRUŻ. HANCERSKA IM. H. TRAUGUTTA
we Lwowie

PIERWIOSNKI.

— Kiwitt!, kiwit! — wołała czapla, przelatując nad łączką w lesie. — Cieszymy się, cieszymy! Wkrótce już przyjdzie wiosna, piękna wiosna. Czuję to w nogach i skrzydłach.

Gdy słowa te doszły do młodej trawki, ukrytej jeszcze pod ziemią, zerwała się ona czymprędzej i pomiędzy zaschłe i pożółkłe źdźbła zeszłoroczne wysunęła na świat boży ciekawe kielki o śmiejących się i wesołych główkach. Trawka jest tak niecierpliwa, że doczekać się nie może wyjścia na świat i śpieszy się stale.

Pierwiosnki w lesie słyszały również zachęcające słowa czapli. Nie miały jednak zamiaru na jej wezwanie opuszczać ciepłego swego okrycia.

— Nie należy zbyt dowierzać czapli — szeptały między sobą. — Jest to jejmość lekko-myślna, na której nie zawsze polegać można. Zjawia się stale najwcześniej i zaraz podnosi gwałt i hałas. Nie, nie, będziemy spokojnie

czekać na powrót szpaka i jaskółki. Są to ptaki stateczne, rozsądne, które nie mają zwyczaju bez zastanowienia brać się do rze-



czy, lecz dokładnie zawsze wiedzą, co można, a czego nie należy robić.

Przyleciały wreszcie i szpaki.

Usiadły na kołkach przed swym letnim mieszkaniem i rozglądały się ciekawie wokoło.

— Jak zwykle, zawczasie — odezwał się ojciec szpak. — Ani jednego listka, ani jednej muchy nie widać nigdzie. Znalazłem jakąś starą, zeszłoroczną, zupełnie zeschniętą muchę, nawet dziobu rozchylić nie było warto dla niej.

Pani szpakowa wcale się nie odezwała, lecz z miny jej łatwo można było poznać, iż także nie jest zbyt zachwycona.

— I poco to było opuszczać nasze ciepłe, wygodne mieszkanie zimowe za górami — nie lepiej tam było siedzieć? — zaczął znowu szpak.

Gniewało go dziwne a uporczywe milczenie żony. Zmarzł porządnie i sądził, że krótką, lecz ożywioną rozmowa rozgrzeje go cokolwiek.

— Ale naturalnie — ciągnął dalej — to przez twój upór. Znów słuchać nie chciałaś, tak jak i w zeszłym roku tak ci się śpieszyło z tym powrotem. Teraz masz za swoje!

— Jeśli nagle o pośpiech, to dobrze wiem dlaczego — odpowiedziała matka. — A wiesz to również dobrze, jak i ja, gdyż jajeczka nasze są w równej mierze twoje, jak i moje.

— Ach, mój ty Boże — odparł szpak obrażonym tonem. — Czyż wyrzekałem się kiedykolwiek własnej rodziny? Mówię tylko, co

jest. Ale może chciałabyś, abym ci przy tym zimnie gwizdał piosenki?

— A tak, uczyni to — zawołała szpakowa takim tonem, że szpak nie umiał odmówić.

Zaraz też począł gwizdać, jak umiał najpiękniej. Ale gdy żona posłyszała parę pierwszych tonów, zerwała się.

— Przecież to takie smutne — zawołała — że na płacz się zbiera. Och, żeby te pierwiosnki rychło się już ukazały!

Gdy pierwiosnki posłyszały pierwsze tony gwizdzącego szpaka, ostrożnie bardzo wychyliły główki z pod ziemi. Były jednak tak szczelnie owinięte w zielone kapturki, że zaledwie poznać je było można. Wyglądały jak zielone kielki.

— Zawczasie jeszcze! — szeptały cichutko między sobą. — Jak ten szpak może wywoływać nas przed czasem!

Potym przyleciała jaskółka.

— Ci, ci! — zaświergotała wesoło, kołysząc się w powietrzu na swych długich czarnych skrzydełkach. — Hejże, kwiaty, wyjdźcie już wreszcie z pod ziemi! Czy nie czujecie, iż wiosna nadchodzi?

Ale doświadczenie nauczyło pierwiosnki ostrożności. Nie posłuchały wezwania, uchyliły tylko cokolwiek chusteczek na głowie, ciekawie wyzierając z za nich.

— Jedna jaskółka nie stanowi wiosny — powiedziały. — Gdzież żona twoja, ptaszku?

Przyleciałaś pewnie po to tylko, aby się rozjechać, czy już tu można zamieszkać, a teraz chcesz nas w błąd wprowadzić. Ale wiemy doskonale, jak łatwo grozi nam przeziębienie, a choroba u nas równa się śmierci.

— Ach, wy mali tchórze! — zawołała jaskółka, siadając na chorągiewce, na samym szczycie domu gajowego, i rozglądając się po okolicy.

Pierwiosnki jednak czekały. Lecz niektóre z nich, gdy słońeczko w południe wysyłało promienie cokolwiek gorętsze, nie były w stanie opanować swej niecierpliwości i zrzuciły swe ciepłe okrywki zielone. Ale w nocy zjawiał się szron i warzył bez litości młode pąki; zaraz też wiadomość o ich śmierci szła z ust do ust, budząc między kwiatami grozę i przerażenie.

Wreszcie zjawiała się uroczą wiosna. A było to pewnej pięknej, cichej, pogodnej nocy.

Nikt nie może powiedzieć, jak wiosna wygląda, gdyż nikt zblizka jej nie widział. Wszyscy tylko tęsknią do niej, są jej wdzięczni i błogosławiają ją za dary, jakimi obsypuje ziemię. Cichym krokiem, niewidzialna oczom, idzie przez las, a pod jej technieniem, jak za uderzeniem różdżki czarodziejskiej, kwiaty i drzewa okrywają się pąkami. Idzie do stajni, obory, owczarni, a uwolniwszy było z zamknięcia, wyprowadza je na łąki i pola pachnące. Wiosna przenika nawet do serca

i duszy człowieka, wnosząc tam radość pogodną i wesele. Ona to, piękna, urocza wiosna jest przyczyną, iż najgrzeczniejszym dzieciakom trudno usiedzieć na szkolnej ławce, ona to wprowadza tyle dziwnych, niewytłomaczonych błędów do kajetów szkolnych!

Naturalnie, iż nie jest ona w stanie zrobić wszystkiego naraz. Dzień po dniu, noc po nocy odrabia część swej pracy, a przychodzi przedewszystkim tam, gdzie najbardziej do niej tęsknią, gdzie najgoręcej jej wyczekują.

Tak się też stało, że zaraz pierwszej nocy udała się do zielonych pierwiosnków, które wciąż na nią czekały otulone w swych zielonych okrywkach.

I raz, dwa, trzy! Jak za dotknięciem cudownej różdżki ukazały się nagle one oczom zdumionym, w ślicznych, białych, świeżo wyprasowanych sukienkach, a były tak czyste, tak piękne w swej niewinnej bieli, że szpaki z radości wygwizdywały najpiękniejsze piosenki.

— Ach, jak tu pięknie, jak cudnie! — wołały zachwycone pierwiosnki. — Jak mile przygrzewa słońce! Jak pięknie śpiewają ptaki! Och, tysiąc razy piękniej, niż roku zeszłego!

Ponieważ jednak powtarzały stale to samo każdego roku, więc nie można było przywiązywać do słów tych zbyt wielkiej wagi!

Gdy pierwiosnki wykwitły, grabina czuła się dotkniętą i obrażoną.

— Kiedy do mnie wreszcie zawitasz, wiosno? — wołała. — Chyba jestem ważniejszą, niż pierwiosnki i nie mogę dłużej powstrzymać mych nabrzmiałych pąków.

— Przyjdę, przyjdę z pewnością — odpowiedziała. — Uspokój się i zaczekaj jeszcze chwilę.

Mówiąc to, wiosna wciąż dalej kroczyła lasem. A za każdym jej stąpieniem wykwiwały z pod ziemi nowe pierwiosnki. Całemi kępkami stały u stóp grabiny, chyląc wstydliwie okrągłe swe główki.

— Patrzcie śmiało w górę — wołała wiosna — oddychajcie pełną piersią i korzystajcie z ciepłych promieni słonecznych! Życie wasze jest krótkie, starajcie się wyzyskać te chwile i używajcie, póki używać można!

Pierwiosnki usłuchały tej rady. Wyciągały się wzdłuż i wszerz, rozpościerając swe białe płatki na wszystkie strony, wchłaniając chciwie blaski słoneczne. W pustocie dziecięcej potraçały się wzajem główkami, obejmując i oplatając się łodygami; wszystko je bawiło, wszystko cieszyło, to też bezustannie dzwonił ich srebrny, wesoły śmieszek.

— Nie, dłużej już nie wytrzymam! — wołała zniecierpliwiona grabina, rozchylając swe pąki i puszczając listki.

Szybko wyłaniał się listek po listku, rosnąc w oczach nieledwie i kołyszając się za najlżejszym podmuchem wiatru. Wkrótce utworzył się

dach zielony, jak potężne sklepienie wspaniałego gmachu.

— Mocny Boże, czyżby już wieczór za-



padł? — pytały pierwiosnki, które raptem otoczył mrok ciemny.

— Nie, to ostatnia wasza godzina już wy-

bija — odparła wiosna. — Wszystko żyje, cieszy się, kwitnie, aby z czasem umrzeć.

— Śmierć, umierać! — pytało z przerażeniem parę drobnych, świeżo wykwitłych pierwiosnków. — Czyż naprawdę umierać już mamy?

— Wiemy, skąd to pochodzi — wołały. — To grabina zgładza nas ze świata. Zabiera nam promienie i blaski słoneczne dla swoich pąków!

W tym właśnie czasie przechodziła wiosna raz jeszcze przez las, musiała bowiem z kolei odwiedzić dęby, brzozy i inne drzewa.

— Nie grymacie, nie wyrzekajcie! — mówiła pierwiosnkom. — Na przyszły rok przyjdę znowu, aby do nowego obudzić was życia.

Niektóre kwiateczki usłuchały tej rady. Zaś inne jeszcze rosły, zadzierając główki możliwie wysoko; lecz ich wybujałe i cienkie łodygi bynajmniej nie radowały oczu.

Grab zaś potrząsał tylko swemi długimi zwieszającemi gałęziami.

— Ach, wy głuptaski — mówił ze śmiechem — zaczekajcie do jesieni, a przekonacie się, jak rzeczy stoją.

Pierwiosnki nie rozumiały tych słów. Wyciągały się, póki im sił i mocy starczyło, aż wreszcie wyczerpane opadły, pożółkłe i zwędłe.

Lato już przeszło i rolnik śpieszył się ze zwózką pozostałego zboża z pola. Las był wciąż jeszcze zielony, tylko pociemniał trochę i w wielu miejscach między zielenią ukazały się liście o barwach czerwonych i żółtych. I słońce zmęczyło się swą ciężką i znojną pracą w czasie długiego lata i wcześniej się do snu układało.

Nocą przekradał się do lasu wiatr jesienny, aby sprawdzić, czy jeszcze nie przyszła nań pora. Gdy znalazł gdzie przypadkiem pęd spóźniony, obdarzał go pocałunkiem, mówiąc uprzejmie:

— Patrzaj! A to miła niespodzianka, że cię zastaję jeszcze. Cieszę się ogromnie, że cię tu widzę. Zostań zemną. Jestem dosyć spokojny i nikomu krzywdy nie czynię.

Biedny kwiat drżał w zimnym objęciu, a przezroczyście krople rosy, jakie na nim błyszczały, sztywniały, zamieniając się raptownie w lśniący szron.

Coraz częściej i częściej przekradał się ten wiatr do lasu.

Pod jego tchnieniem liście o świeżej zieleni żółkły i zamierały, a pulchna ziemia powoli twardniała.

Nawet pierwiosnki, które w ciepłym ukryciu pod ziemią czekały na zapowiedziany im powrót wiosny, poczuły mroźne tchnienie tego wiatru i drżały aż po same korzenie.

— Zimno, strasznie zimno — szeptały ci-

chutko, dreszczem przejęte. — Jakże przetrzymamy tę długą zimę! Zamrzemy, bezwątpienia zamrzemy, zanim zima ku końcowi mieć się będzie!

— No, nareszcie i ja doczekałam się! — mówiła zima. — Moja pora nadeszła. Już nie będę skradała się po nocy. Od jutra wystąpię otwarcie, nikogo się nie bojąc i śmiało ludzi w twarz szczypać będę, aż im poczerwienieją uszy i policzki, aż łzy im z zimna spływać będą.

W nocy spuściła zima z uwięzi zawieruchę.

— Zrób no mi porządek, wymieć wszystko do czysta!

Zawierucha posłusznie spełniała ten rozkaz. Z głośnym, żałosnym wyciem, grozę w duszach budzącym, hulał wiatr po lesie, gnąc i łamiąc gałęzie, gdzieniegdzie nawet drzewa. Z łoskotem wielkim pędził szalony wichur, niszcząc, tratując, łamiąc, unosząc, depcząc bez litości wszystko, co na drodze stało. Co wyschło lub zwiędło, opadało z trzaskiem na ziemię: jeśli zaś miało siły i opór stawiało, to wiatr nagiął, trząsł i kręcił nieraz jak w młynku.

— Precz z tym wszystkim! — wyła zawierucha, szarpiąc ostatnie liście na drzewach. — Teraz nie pora na stroje i zbytki! Wkrótce zjawi się śnieg na gałęziach, a to inna zupełnie historia.

Przejęte grozą i przerażeniem opadały ostat-

nie liście z drzewa, lecz wiatr nieubłagany
i tu im jeszcze nie zostawił spokoju. Po-
rwał je silnym szarpnięciem, uniósł wysoko



w górę, potem rzucił na pole, a przetańczyw-
szy taniec szalony, wrócił znowu do lasu,
podrzucając liśćmi, jak piłką w powietrzu,

zmiótł je wszystkie razem w jeden stos wielki, a potem znów rozniósł na wszystkie strony świata — słowem rządził się, jak mu się żywnie podobało!

Dopiero nad ranem, zmęczony nocną hulanką, ułożył się do spoczynku.

— No, na teraz mam dość — mówiła zawierucha. — Aż do wiosennych wielkich porządków macie spokój zapewniony. A na wiosnę potańczymy znowu!

Teraz liście ułożyły się do spoczynku, a mając pewność spokoju, rozestały się na ziemi, nakształt grubego dywanu.

Przykryte pierwiosnki poczuły nagle ciepło.

— Czyżby to wiosna już przyszła? — pytały się szeptem cichutkim.

— Jeszcze nie jestem gotów! — zawołał jeden z kwiatów z niepokojem. A za nim rozległy się i inne głosiki:

— Ja też nie, i ja nie, i ja jeszcze nie!

Jeden z pierwiosneków odważył się wychylić na powierzchnię ziemi.

— Dzieńdobry, dzieńdobry! — wołały zwiędłe liście grabiny. — Zawczasie trochę, kwiateczku, jeszcze zawczasie, oby ten pośpiech nie zaszkodził kawalerowi.

— Czy przyszła już wiosna? — pytał pierwiosnek.

— Jeszcze nie zupełnie — odpowiedziały liście. — A was od mrozów chronimy my, liście grabiny, na które tak bardzo gniewa-

Oddział Lwowski
Chorągiew
2. 1902 HARECZKA

liście się w lecie. Zieleni nasza dawno już przeszła, o strojach mowy teraz być nie może. Cieszyliśmy się i używali życia, młodości i wesela, słońca i światła, póki można było, a teraz oto leżymy tu zwiędłe, aby was, małe kwiatki, bronić od zimna.

— Tymczasem zaś ja stoję naga, ogołocona z liści i marznąć muszę — wtrąciła grabina.

Pierwiosnki rozmawiały o tym, co właśnie posłyszały.

— Kochane, dobre liście grabiny! — szeptały.

— Pamiętajcie, co teraz mówicie, na przyszłą wiosnę, gdy znów puszcze świeże liście — mówiła grabina.

— Tak, tak, nie zapomnimy, nie! — szeptały pierwiosnki.

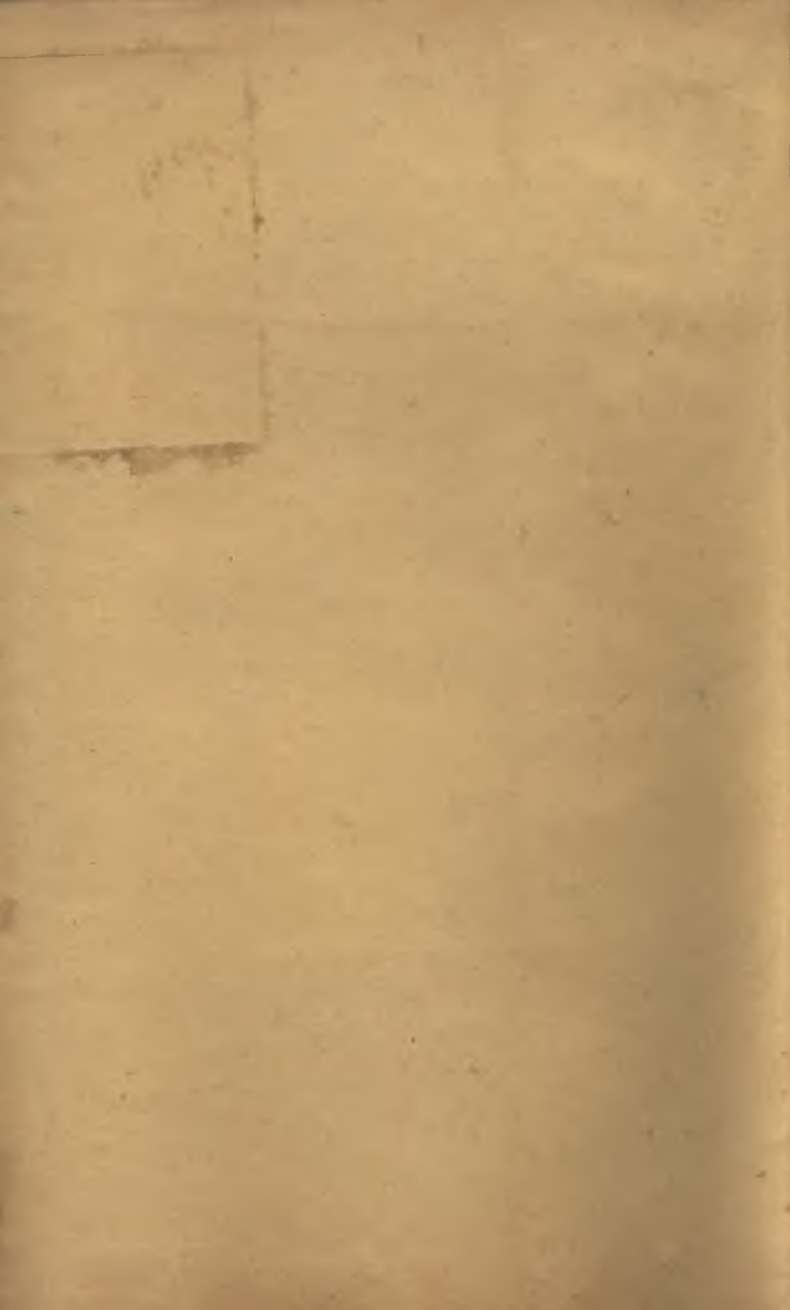
Ale my wiemy, że obiecywać zawsze łatwiej, niż dotrzymać!



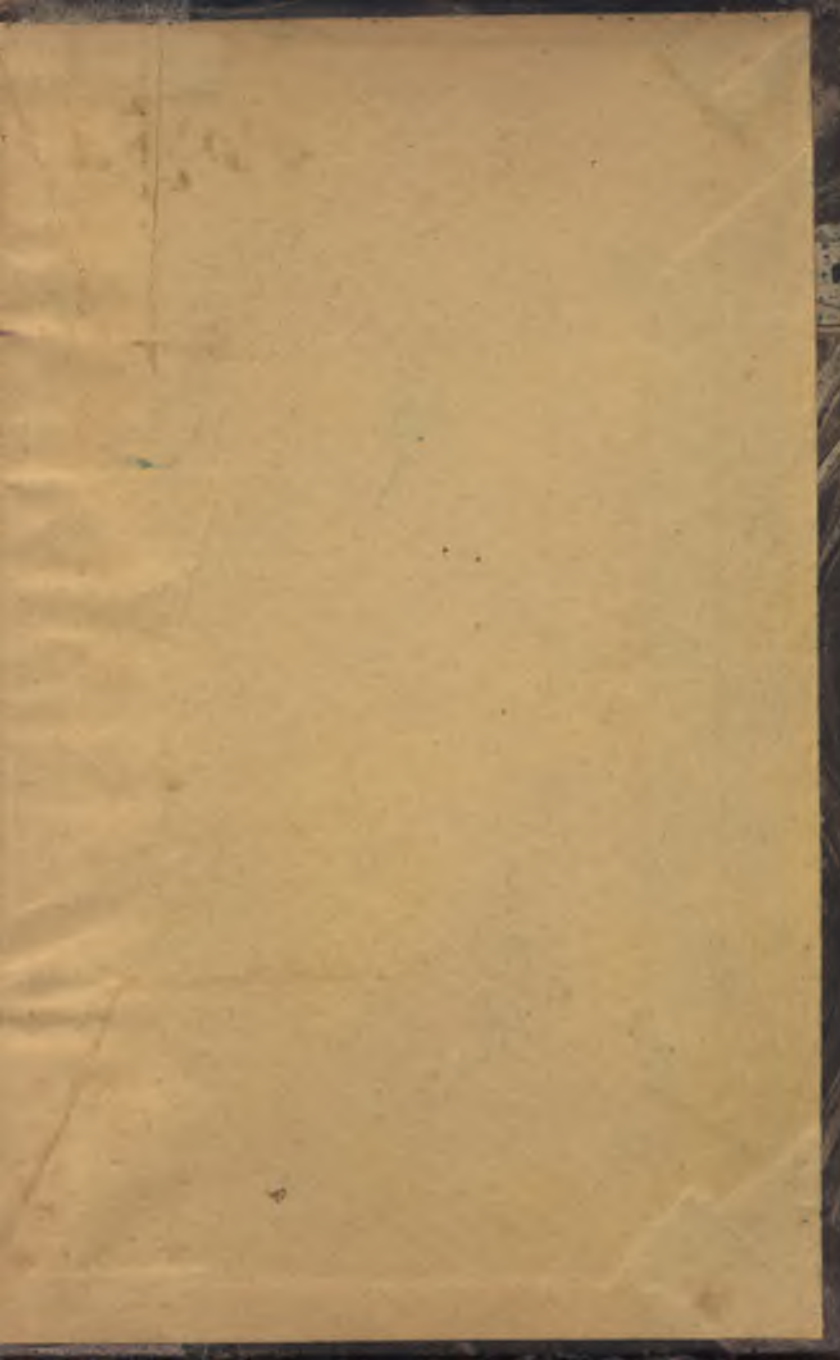
E. H. P.
Oddział Lwowski
Chorągiew Męska
2. DRUŻ. HARCERSKA 13. 8. PRĄGUTY
w Lwowie

L. _____









PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14



173796

UWAGA
KŁOCEK INTROLIGATORSKI

MUZEUM